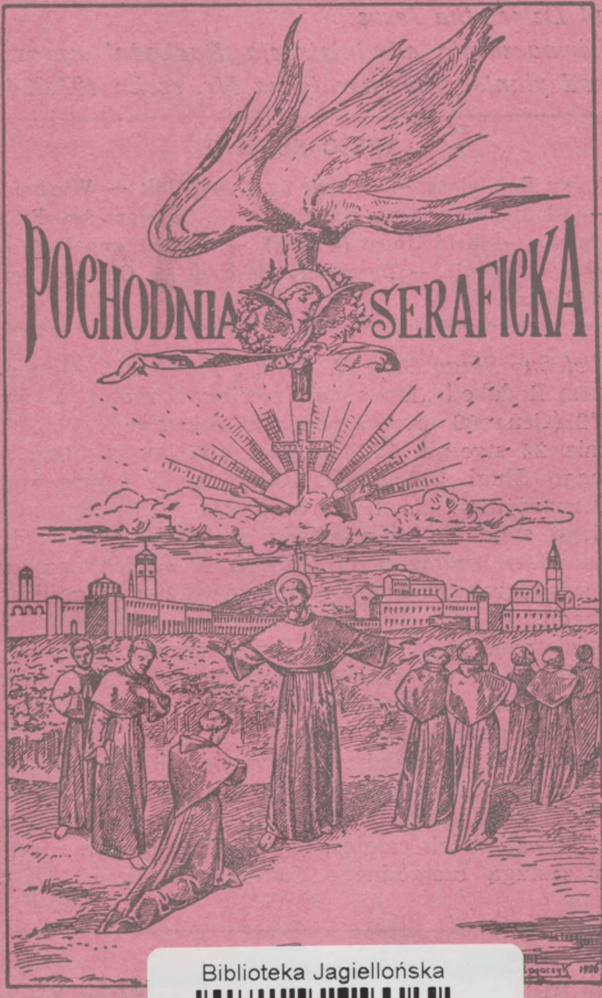
Rok IX. Styczeń 1934 № 1.



Cena N-ru pojed. 20 gr. Pren. roczna 2 zł.

OD REDAKCJI.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz z okazji Nowego Roku redakcja Pochodni Serafickiej przesyła wszystkim Swoim Czytelnikom życzenia jak najobfitszych łask od Dzieciątka Jezus.

Równocześnie administracja Pochodni uprasza o rychłe nadsyłanie prenumeraty na Nr. czeku 407.634.

TREŚĆ NUMERU

Wielebny Sługa Boży O. Rafał z Proszowic (Monografja). Nakładem Redakcji „Dzwonka Trzeciego Zakonu" Lwów 1933. stron 72 (Cena 60 gr. bez przesyłki pocztowej).

Dnia 24 stycznia 1934 upływa 400 lat od błog. śmierci wielebnego Sługi Bożego O. Rafała z Proszowic z zakonu OO. Bernardynów. To też monografja O. Jubilata Cz. Bogdalskiego staje się niewątpliwie znakomitą zapowiedzią, że ojczyzna nasza godnie uczci jednego ze swoich opatrznościowych i sztandarowych synów, by utorować mu drogę do rychłej beatyfikacji.

Zewnętrzna szata dziełka jest barwna, obrazowa, język o nieprzeciętnych walorach literackich, styl jasny, pełen oratorskiego polotu — a to wszystko sprawia, że książkę czyta się jak cudną powieść.

Spodziewać się należy, że życiorys Sługi Bożego ukaże szerokim warstwom ludu polskiego, a zwłaszcza licznym członkom Trzeciego Zakonu O. Rafała w całym jego przedziwnym uroku i utrwali w ich pamięci jego świetlaną postać, co będzie główną zasługą czcigodnego Autora i redakcji „Dzwonka".

Ks. F. H.

OFIARY ZŁOŻYLI:

Na Misje franciszk. w Japonji: Kraków: Kółko Misyjne III. Zakonu przy Bazylice OO. Franciszkanów 39 zł.; Gronkiewicz 5 zł. Głowacka 2 zł.; Żukrowska 0·50 zł.; Jasiński 2 zł.

Rok IX. Styczeń 1934 r. Nr. 1.

POCHODNIA SERAFICKA
ORGAN TRZECIEGO ZAKONU I STOW. FRANC. KRUCJATY MISYJNEJ

„Nowy Rok bieży"

(Luźne uwagi dla wszystkich).

Wybiła północ na wielkim zegarze kościelnym. Dwanaście różnych, dźwięcznych uderzeń ogłosiło ludziom ważną nowinę, że stary rok pogrążył się już w mrokach przeszłości, a na jego miejsce rozpoczął się nowy. Na pozór nic się nie zmieniło — pisać tylko będziemy zamiast 1933, rok 1934. Dnie i noce jak dotąd zmieniać się będą — słońce wschodzić i zachodzić będzie a ludzie wszyscy codziennie o 24 godzin będą bliżej śmierci, bliżej Boskiego sądu i bliżej wiecznej zapłaty. Czyż i my mamy pozostać nadal takimi, jak dotąd byliśmy?

Każdy rozpoczynający się nowy rok, witamy z ciekawością, trochę z obawą, najczęściej z nadzieją. Czy przyniesie nam co nowego? Niewiadomo, w każdym razie dużo pozostanie w nim starych rzeczy. Taksamo ludzie w nim dzielić się będą na złych i dobrych — taksamo radość lub boleść przeplatać będzie kolejno dnie jego. Kłopoty i troski nadal zamieszkiwać będą ziemię, a szczęście i pomyślność taksamo rzadkiemi pozostaną na niej zjawiskami jak w roku ubiegłym. Tak już bowiem rozporządził P. Bóg i w przedwiecznej Swej mądrości zna pożytek i celowość Swoich wyroków. A jednak iluż ludzi w tych 12-stu przyszłych miesiącach nie będą chcieli zaufać Jego świętej Opatrzności, lub wręcz na nią szemrać będą!...

Dla wielu istnień ludzkich rozpoczynający się rok będzie pierwszym ich życia, dla wielkiej części ostatnim — jednym przyniesie zdrowie, drugim chorobę i niedołęstwo. Czem jednak stanie się ten rok nowy dla naszej duszy, dla naszego życia wewnętrznego? Czy nie przyniesie nam nic więcej od roku zeszłego?

Jedna chwila może sprawiedliwego zamienić w potępieńca lub grzesznika zwrócić na drogę cnoty — o ileż więcej cały rok. Często słyszymy zdanie, że największą wartością na tej ziemi jest czas, ale „nadejdzie godzina, w której już czasu nie będzie“. Jak więc gorliwie powinniśmy korzystać z czasu dla uświęcenia duszy w tym rozpoczynającym się roku, który być może, dla naszego ciała będzie już ostatnim...

Jezus Chrystus, którego najświętszem Imieniem rozpoczyna Kościół rok nowy jest naszym Panem i Zbawicielem. Staliśmy się Jego zdobyczą przez wielkie dzieło Odkupienia — Jemu więc przedewszystkiem oddajmy się na wierną, gorliwą służbę zaraz w pierwszym dniu. Złóżmy Mu uroczyste przyrzeczenie, że trwać będziemy przy Nim niezłomnie — że Jego zamiary i plany będą naszemi, że wszystkie Jego interesy popierać będziemy z wszystkich sił naszych, by rozszerzyć i utrwalić Jego królestwo w duszach ludzkich.

Każdy na tym świecie ma swoje sprawy, swoje interesy, swoje pragnienia i aby je przynajmniej w części urzeczywistnić, ciężkie nieraz ponosi ofiary. Jeden wysila się na prace i trudy, aby tylko zaspokoić swoją ambicję, aby uzyskać ten lub ów urząd, mający go podnieść w opinji świata, inny pracuje bez wytchnienia, naraża się nawet na utratę zdrowia byle tylko swój worek napełnić — inny znów uważa za główny swój cel używanie i przyjemności zmysłów. Wszystko tylko dla ziemi, wszystko dla ciała na ten krótki, tak skąpo nieraz odmierzony okres ludzkiego życia!

I szatan ma swój program działania — swoje interesy. Owszem ma je wielkie i liczne. Jestto spekulant nad spekulanty, gracz wytrawny, któremu w sprycie i przebiegłości nikt dorównać nie potrafi. Nie będzie w tym nowym roku ani godziny, ani jednej nawet minuty, z którejby nie korzystał i swego geszeftu nie przeprowadził.

Cnotliwego będzie się starał do złego namówić — obojętnego w wierze w sidła swe zadzierzgnąć — nad bezbożnikiem zacisnąć swą pięść władczą. Dla niego żadne miejsce nie jest świętem ani niedostępnem, nawet w kościele wśród modlących się tłumów sieci swe zastawia. Jestto handlarz na wielką skalę, który interesy swoje en gros prowadzi — we wszystkich częściach świata ma swoje filje, swoich agentów i komiwojażerów — swoich współpracowników i plenipotentów, którzy mu dzielnie dopomagają, niekiedy nawet bezwiednie. Umie on wykorzystać nawet bojaźń Bożą i cnotę i zręcznie ją na manowce sprowadzić. Nie opuszcza żadnej okazji i spraw swoich pilnuje z większą cierpliwością i wytrwałością, aniżeli wielu chrześcijan zbawienia swej duszy.

Przypatrzmy się teraz celom i interesom, jakie nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus ma na tej ziemi. Krew Jego Przenajświętsza na krzyżu za nas wylana da nam najwymowniejszą odpowiedź.

Jego Sakramenta są żywemi i widocznemi znakami celów, które osiągnąć pragnie .— Jego łaski obfitsze i liczniejsze nawet od grzechów ludzkich są środkami prowadzącemi do osiągnięcia tych celów. — Jakież jednak pragnienia Najświętszego Serca głównie popierać winniśmy, aby współdziałać z Jego intencjami?

Pierwszą a najgłówniejszą tęsknotą Syna Bożego, jak nam to w licznych obrazach przedstawia Ewangelja była płomienna gorliwość o chwałę Boga Ojca. „Nie wiedzieliście iż w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba abym był (Łuk. 2. 49). wyrzekł Jezus już jako dwunastoletnie pacholę — ostatnim zaś Jego słowem na krzyżu było wołanie: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego“ (Łuk. 23. 45.) Całe Jego życie to streszczenie prawdy, jaką powiedział: „Mój-ci pokarm jest, abym czynił wolę Tego, który mnie posłał“. (Jan 4. 34.) I dopóki tego życia starczyło, pożerał Go nieustanny

głód i pragnienie chwały i uwielbienia Ojca, bo na to przyszedł na świat, aby tę zatraconą i sponiewieraną chwałę odszukać i należne jej miejsce na ziemi wśród stworzeń napowrót przywrócić.

W tym właśnie kierunku chciałby nas P. Jezus widzieć Swymi następcami i dlatego wysłużył nam tak wielkie łaski, abyśmy za Jego przykładem starali się przedewszystkiem o „uwielbienie Ojca". Jeżeli cześć i chwała Boża powinna być obowiązkiem i głównem zadaniem życia wszystkich chrześcijan, to tem więcej troszczyć się o nią powinni członkowie III. Zakonu, którzy powołani zostali do wyższych rzeczy i większą miłością ku Bogu odznaczać się mają. Smutne dzisiejsze czasy aż nadto dają im sposobności do codziennej praktyki naśladowania Boskiego Mistrza i swego św. Założyciela w szerzeniu i utrwalaniu chwały Niebieskiego Ojca. Szeroką falą rozlało się naokoło zapomnienie o Bogu, lekceważenie Boga, bezbożnictwo i nieledwie nowe pogaństwo ogarnęło dusze ludzkie.

Dawny, czczony i wielbiony Bóg, Pan i Stwórca, jako niewygodny dla nowych wierzeń został usunięty na stronę — staropolska nasza wiara wyszła całkiem z mody — zato składa się prawie publicznie hołdy niecnocie i występkowi, a są i tacy, którzy szczycą się nawet wolnością i uprawnioną swobodą grzechu. Bezwstyd zajął miejsce chrześcijańskiej wstydliwości, pycha, ambicja, chciwość zniszczyły w duszach miłość bliźniego i na porządku dziennym kradzieże, rozboje, napady, morderstwa. Nawet wśród rodzin chrześcijańskich, mianujących się katolikami jest często P. Bóg tylko rzeczą uboczną. Przechodzą dnie, tygodnie, miesiące całe, a nikt o Nim w domu nie pomyśli. Nie zrywa się z Nim całkowicie, bo ostatecznie na końcu będzie się Go potrzebowało i zresztą spodziewamy się od Niego wiekuistej nagrody. — Jest wprawdzie dużo ludzi, którzy pragnęliby prowa-

dzić życie według przykazań Bożych, lecz jednym brakuje światła, inni znów nie mają odwagi, aby jawnie i stanowczo w swej działalności stawiać na pierwszem miejscu chwałę i uwielbienie Boga.

Jakież będzie odtąd w tym kierunku nasze postanowienie?...

Z głównym celem uwielbienia Ojca przez Swoje życie i bolesną Mękę połączył P. Jezus najściślej cel drugi: ratowanie dusz ludzkich. Dla odkupienia dusz przyjął na siebie ułomne ciało ludzkie, dla nich poświęcił całe Swe życie w bóstwie, pracy i mozolnych trudach, dla nich stał się dobrowolną, krwawą Ofiarą na Kalwaryjskim krzyżu. Każda dusza uratowana dla szczęśliwej wieczności jest zyskiem, każda zgubiona — dotkliwą stratą w Jego interesach. A ileż niestety! ginie ich w okropnych przepaściach piekła...

Więc nadarmo pocił się dla nich Zbawiciel krwawym potem w Ogrodzie, nadarmo zniózł srogą mękę biczowania i cierniem koronowania, nadarmo niósł krzyż ciężki — nadarmo trzy godziny wisiał na nim w okropnych boleściach?! Czyż serca nasze pozostaną nieczułe i obojętne na te straty i to straty wieczne? — Ratowanie dusz ludzkich od potępienia było zawsze namiętnością Świętych. Dla dusz ponosili największe ofiary, modlili się i pościli, zadawali sobie różne pokuty, by tylko ten cel osiągnąć. Powinniśmy ich w tym względzie naśladować, a do tego cichego apostolstwa nie brak nam ani środków, ani sposobności. Gdybyśmy zapobiegli codziennie choćby jednemu grzechowi, byłoby to już zasługą mającą wielką wartość w oczach Bożych. Pomyślmy tylko o grzechach języka — ile się ich popełnia codziennie w otoczeniu naszem i na całym świecie. A tak łatwo byłoby nieraz zapobiec złemu przez mały wysiłek naszej dobrej woli, przez odważne wystąpienie w obronie zagrożonej dobrej sławy bliźniego. To tylko jeden przykład z tysiąca.

Najgłówniejszym jednak środkiem — to modlitwa. Modlitwa jest potęgą, której nie doceniamy, a której sam P. Bóg oprzeć się nie może. — Łaska Boska jest jedynym środkiem przeciw piekłu i grzechowi, ale ta łaska musi być wyproszoną. Mało kto prosi o nią, bo nie zna jej wartości i jej konieczności, a przecież ona jedna tylko może duszę z grzechu uleczyć. To Boskie lekarstwo możemy gorącą i wytrwałą modlitwą wyprosić jedni dla drugich, i takiej modlitwy nigdy P. Bóg nie odrzuca, bo niema rzeczy milszej Bogu jak zbawienie dusz. Do wytrwałej w tym względzie gorliwości powinna nas zachęcać i własna nasza osobista korzyść, bo jak mówi św. Jakób Apostoł w końcowym ustępie swego powszechnego listu: „Niechaj wie, iż ten co nawrócił grzesznika od błędnej drogi jego, zbawi duszę jego od śmierci i zakryje wielkość grzechów".

Rozpocznijmy więc ten nowy rok odważnie i ufnie. Prowadzić nas będzie Zbawiciel-Król i wielki Jego chorąży, założyciel naszego III. Zakonu, św. O. Franciszek. Jeżeli regułę św. wiernie wypełniać będziemy i ożywieni duchem św. Fundatora „szukać będziemy przedewszystkiem królestwa Bożego" przez szerzenie chwały Boga i ratowanie dusz, wtenczas stanie się nam rokiem szczególnego błogosławieństwa i obfitych zysków dla wieczności. Rok nowy powinien stać się nowym przez nowy zapał, nową gorliwość, nowe zdobycze dla nieba.... Takie niech będą nasze wzajemne noworoczne życzenia!

Łaska naszego Pana Jezusa Chrystusa, niech będzie z nami wszystkimi! A Temu, który może nas utwierdzić.... samemu mądremu Bogu niech będzie cześć i chwała przez Jezusa Chrystusa na wieki wieków. Amen. (Rzym. 24. 25. 27.). *P.*

NA NOWY ROK

Noc — dwunastą zegar bije
Mroźny wietrzyk wieść w dal niesie
I po polu i po lesie,
Że rok stary już nie żyje!

Zmarł i przepadł w mgle przeszłości
Pozostawił tylko wiele
Ran na duszy i na ciele,
Które zgoją się w wieczności!

Świt — jutrzenka zdala błyska
Wietrzyk szumi co ma siły,
Że się zjawił roczek miły,
Który szczęściem cały tryska.

Ale zgóry zapowiada,
Że tym tylko łaskaw będzie
Co szukają Boga wszędzie
A grzesznikom mówi — biada!

Franciszkowym córom synom
„Pax et bonum" niesie w darze
I nad sobą czuwać każe
Ciasną, stromą iść ścieżyną.

G.

Chcesz zrobić przyjemność P. Jezusowi w tym nowym roku? Zapisz się do Akcji Katolickiej i pociągnij swym przykładem drugich. Apostołuj wśród świata miłością na wzór naszego św. O. Franciszka.

Wiosna w życiu duszy

Każdy nowy rok nazwać możemy wiosną w życiu duszy. Jeżeli dusza prawdziwie jest szlachetna, dbała o swój postęp na drodze doskonałości, to czyż z chwilą, gdy błyśnie zaranie nowego roku nie budzi się z nowym zapałem i czy nie zabiera się do ponownej pracy nad uprawą roli własnego serca? Nazwijmy tę rolę ogrodem i zabierzmy się i my do gorliwej pracy w nim.

Najpierw zwróćmy uwagę na to, że jak różne są ogrody w świecie przyrodzonym, to tak samo i w świecie nadprzyrodzonym.

Jedne dusze mogą porównać swój ogródek duchowy z ogródkiem przy chacie wieśniaczej, inne ze wspaniałemi ogrodami miejskiemi lub dworskiemi, ale są i takie dusze, któreby trzeba przyrównać do ogrodów królewskich.

Pracy w ogródkach wiejskich lub miejskich, lecz skromnych, ubogich jest niewiele. Sadzi się tam kwiaty pospolite i tylko dorywczo, rosną zaś niepielęgnowane razem z chwastami. Są one obrazem dusz niedbałych, które pod pozorem, że mają wiele innych spraw do załatwienia, udoskonalenie i upiększanie swego ogródka pozostawiają na ostatnim planie i zwykle tylko parę razy do roku wchodzą tam, aby go z grubsza oczyścić i kilka marnych kwiateczków zasadzić.

Wspaniałe ogrody miejskie lub dworskie mają stałych ogrodników, a tych zadaniem jest troszczyć się z dnia na dzień, aby ogród na każdą porę roku zakwitał odpowiedniemi kwiatami. Kto miał sposobność obserwować gorliwych ogrodników, to mógł się przekonać, że w pracy swej nie mają ani wytchnienia, każdy dzień pogodny czy słotny przynosi im nowe zajęcia, a kilkudniowe zaniedbania powodują nieraz wielkie straty. Czy nie tak jest i u dusz gorliwych? Rolę ogrodnika w ich ogrodzie spełnia dobra wola. Ta pracuje niezmordowanie a zawsze

coś nowego nasuwa się do zrobienia. Dobra wola — jak dobry ogrodnik, nie zraża się, gdy burze życiowe, ulewy i posucha zniszczą jej pracę, lecz ponownie do niej się zabiera. Jak ogrody wspaniałe są nieraz podziwem dla zwiedzających, tak samo dusze przez ciągłą pracę nad upięknieniem własnego serca, wprawiają w zdumienie tych, którzy doniedawna znali je jako puste zachwaszczone ugory.

Ale są jeszcze ogrody przy pałacach królewskich, przy zamkach książęcych. Są one obwarowane wysokiemi murami, niedostępne dla tłumu, widzieć je mogą tylko najbliżsi dworzanie. Domyślamy się, że praca przy ich upiększaniu ogromna, że rosnąć tam muszą kwiaty, których my i nazwać nie umielibyśmy — i że musi tam być bardzo pięknie. Do tych rzadkich królewskich ogrodów przyrównajmy dusze święte. Te, które poddały się zupełnie pod panowanie Króla niebios, i dla Którego starają się urządzać wszystko po królewsku. On zresztą Sam rządzi niemi i wydaje Swe najświętsze, najsprawiedliwsze rozkazy, aby wszystko było czynione godnie i odpowiadało najwyższemu Majestatowi. Takich więc wspaniałych ogrodów nie może brakować i nie brakuje w naszym serafickim Zakonie. Nasz Założyciel, Święty Ojciec Franciszek pokazał nam pierwszy na sobie, jak mamy w naszem wnętrzu urządzać wszystko po królewsku.

A teraz odpowiednio do tego, jakim ogrodem jest dusza każdego z nas, zabierzmy się ochoczo do pracy przy nowym roku — przy wiośnie duchowej. Może to już ostatnia wiosna w życiu naszem? Co teraz zasiejemy, zasadzimy, to będziemy zbierać w chwili śmierci na życie wieczne. Może jak gospodarzom, właścicielom dóbr nie powiodło nam się w ubiegłych latach, ponieśliśmy straty. Bądźmy więc pełni nadziei, że w tym roku nagrodzi nam się wszystko. Pan Bóg uczynił nas tak szczęśliwymi, że dopóki żyjemy, może się jak u orła odnawiać młodość

nasza duchowa, możemy wciąż rozpoczynać wiosnę życia — i zdobić swą duszę w nową zieleń i w nowe kwiaty cnót. O korzystajmy z tej łaski i przyozdóbmy się na chwilę śmierci, w której na pracę będzie już za późno!" Usłuchajmy św. O. Franciszka, który na nas woła: „Póki mamy czas, czyńmy dobrze!"

* * *

Dusza nasza jest więc ogrodem — pięknym, bo z roku na rok starannie uprawianym, lub też brzydkim, zaniedbanym, bo nie masz ktoby w nim pracował. My zajęci tysiącem spraw mniej ważnych, odkładamy tę pracę zawsze na później. O jakaż łaska, że jeszcze nie zagrzmiał nad nami głos — „zapóźno!" Weźmy się już przynajmniej teraz do pracy i nagrodźmy Bogu czas zmarnowany!

W ogrodzie uprawianym starannie lub mniej starannie, są na wiosnę podobne zajęcia. Trzeba z niego najpierw usunąć niepotrzebne kamienie i śmiecie.

Skąd się biorą kamienie? Powiadają rolnicy, że kamienie w ziemi rosną. Być może. Kamieniami w ogrodzie duchownym są grzechy. O nich by prędzej można powiedzieć, że rosną. Wystarczy dopuścić się jednego grzechu i tak go na jakiś czas pozostawić w duszy nie wyspowiadany, nie obżałowany, a wnet koło niego namnoży się pełno innych grzechów, bo jeden pociąga za sobą drugi, a drugi trzeci i t. d. bez końca. Ileż teraz dusza musi sobie zadać pracy, aby wyzbierać te kamienie i powynosić ich ciężary. Na ziemi kamienistej kwiat cnoty wyróść nie może, choćby się posiało najlepsze ziarno. Powiedział Pan Jezus: „A jedno padło na opokę, a nie mając ziemi wiele, nie mogło zapuścić korzeni, więc gdy słońce zeszło, wypaliło roślinkę i uschła". Są dusze, które chcą pielęgnować najpiękniejsze kwiaty cnót na opoczystej ziemi. Z jednej strony uganiają się za wysoką doskonałością, a z drugiej — popełniają wciąż te same grzechy i nie

zadają sobie żadnego trudu, aby się ich pozbyć. Doskonałość tymczasem wyrasta tylko na gruncie oczyszczonym.

Oprócz kamieni trzeba usunąć i śmiecie, które gromadzą się przez zimę w każdym ogrodzie. Zimą jest zaniedbanie się w pracy duchowej, dopuszczenie do duszy pewnej oziębłości w służbie Bożej. Taka zima sprowadza mróz i burze, więc marzną i łamią się kwiaty i powstają z nich śmiecie, które wicher roznosi. Tem śmieciem — to przywiązanie ziemskie, to wygody, przyjemności jakich zaczynamy szukać z chwilą, gdyśmy się opuścili w służbie Bożej i gdy nam już nie smakują: modlitwa — praca — umartwienie zmysłów i własnych namiętności. Te śmiecie są także skutkami grzechów i trudniej z nich ogród serca oczyścić, niż z samych najcięższych grzechów i praca ta rozciąga się na całe lato, czyli na całe życie. Gorliwa dusza, będzie zawsze miała coś do usunięcia ze swego ogródka, aby to coś nie szpeciło ślicznych klombów i aleji. A jeżeli nasz ogród ma się stać ogrodem królewskim, to ileż trzeba dołożyć starań, by się stał godnym widoku Niebieskiego Króla — Jezusa.

Przyzwijmy na pomoc Królowę nieba, Marję Niepokalaną. Ona nam pomoże urządzić nasz ogród na wzór Swego niebiańskiego ogródka. Powie nam w zaufaniu jak dobrym dzieciom, że grzechy i przywiązania ziemskie są czemś najohydniejszem we wnętrzu duszy i Jezus-Król z odrazą cofa się przed niemi. On nie może wejść do naszego ogródka osobiście i zamieszkać tam na stałe, dopóki nie wyrzekniemy się świata i siebie — uciech i wygód — i tych niezliczonych niedoskonałości, które jak wodę pijemy na każdy dzień. Te kamienie i śmiecie kłują Go i ranią boleśnie i zmuszają do ucieczki od nas. My wtedy pozostajemy sami i jesteśmy nieszczęśliwymi. Uciechy światowe nie dają nam zadowolenia, a Boskich doznawać nie jesteśmy godni — cierpimy więc bardzo

i ulgi znaleźć nie możemy. Słusznie wołał Błog. Henryk Suro: „O co za męczarnia, być pozbawionym pociech tej ziemi i nie mieć pociech nieba!“ *C.d.n.*

G.

BŁOG. LUDWIKA ALBERTONI

3 ZAK. SERAFICKIEGO.

(31 stycznia)

Błogosławiona Ludwika, jedna z najpiękniejszych ozdób trzeciego Zakonu, wierna naśladowniczka świętej Elżbiety węgierskiej, siostrzenica kardynała Jakóba Tebaldi, urodziła się w Rzymie z końcem 15 wieku. Rodzice jej Stefan Albertoni i Lukrecja Tebaldi, należący do arystokracji rzymskiej i spokrewnieni z najpierwszemi domami we Włoszech, wpajali w niewinną córeczkę zamiłowanie modlitwy, miłość P. Boga i bliźniego, a pojętny jej umysł kierowali ku wszystkiemu, co wzniosłe, szlachetne i piękne.

Trudy zacnych rodziców wydały wspaniałe owoce. Pod działaniem łaski Bożej rozwijały się w młodej dzieweczce najpiękniejsze przymioty; unikała płochych zabaw, gardziła światem i jego marnościami, a najgorętszem jej pragnieniem było oddać się P. Jezusowi na wyłączną służbę w ciszy klauzurowego klasztoru. Pan Bóg jednak miał inne względem niej zamiary i przeznaczał ją na wzór chrześcijańskich matek i bogobojnych wdów.

Po śmierci rodziców — na życzenie opiekunów — wyszła bł. Ludwika za mąż, poślubiając szlachetnego i pobożnego młodzieńca, Jakóba de Cithara.

Cnotliwy małżonek w niczem nie krępował wzniosłych upodobań świątobliwej towarzyszki życia; pozwalał, by jak dawniej, stroniła od hucznych zabaw, by ubierała się skromnie i ubogo, a czas wolny poświęcała modlitwie i ćwiczeniom pobożnym.

Z wielkiem poświęceniem i czułą troskliwością zajmowała się bł. Ludwika wychowywaniem trzech córek. Roztropnie odsuwała od nich wszystko, co tchnie duchem świata, uczyła je poszanowania praw Bożych i przepisów Kościoła św., zamiłowania cnoty i zbierania zasług na szczęśliwą wieczność. Sama odmawiała z niemi modlitwy poranne i wieczorne, prowadziła je do kościoła ucząc, jak się mają zachowywać w tem świętem miejscu i sama przygotowywała je do przyjmowania Sakramentów świętych. Czuwała pilnie, by nigdy nie traciły czasu na próżnych marzeniach lub płochych rozmowach, podsuwała im w porę różne zajęcia a szczególniej zachęcała je własnym przykładem, by własnoręcznie sporządzały ubrania dla biednych. Idąc za wzorem Blanki Kastylskiej powtarzała im często, że chociaż serdecznie je kocha, wolałaby raczej płakać na ich grobie, niż dowiedzieć się, że splamiły duszę grzechem śmiertelnym.

Ale ciche szczęście ziemskie bł. Ludwiki nie długo trwało. Liczyła dopiero 33 lata, gdy cnotliwy Jakób de Cithara, podzielający wszystkie szlachetne uczucia swej pobożnej małżonki, niespodzianie — w sile wieku — rozstał się z tym światem.

Bł. Ludwika boleśnie odczuła ten straszny cios, ale pełna żywej wiary, wśród gorzkich łez, płynących z rozdartego serca — uwielbiała wolę Bożą i ani na chwilę nie zaniedbała się w spełnianiu zwykłych obowiązków.

Po wydaniu za mąż wszystkich trzech córek, chcąc wyżej postąpić w doskonałości, postarała się o przyjęcie do Trzeciego Zakonu św. O. Franciszka Serafickiego. Odtąd zimą i latem nosiła stary, połatany habit, który ściągał na nią szyderstwa krewnych i znajomych, gdyż nie odpowiadał — według ich mniemania — położeniu, jakie świątobliwa wdowa zajmowała w świecie. Pogarda i urągowiska sprawiały bł. Ludwice niewymowną radość, a smuciła się wielce, gdy ją chwalono lub czcią otaczano,

gdyż we własnem przekonaniu uważała się za najnędzniejsze stworzenie i pragnęła, by ją miano za największą grzesznicę.

Naśladując św. Elżbietę, oddała cały swój majątek na cele dobroczynne i poświęciła się usłudze chorych i ubogich. Nie żałowała trudu i kosztów na ratowanie nieszczęśliwych i tak się wyzuła ze wszystkiego na korzyść biednych, że wreszcie i własnego łóżka nie miała.

W największem ubóstwie żyjąc, nie udawała się nigdy do bogatych krewnych o wsparcie, a gdy jej sami ofiarowali jaką jałmużnę, z radością śpieszyła do biedniejszych od siebie, by ich w nędzy poratować. Wszyscy mieszkańcy Rzymu podziwiali jej wspaniałomyślne miłosierdzie i nazywali ją „Matką ubogich".

Gdy sześćdziesiąt lat przeżyła w umartwieniach, postach i pokucie, podupadła tak znacznie na siłach, że już nie mogła nawiedzać kościołów, ale wszystkie zwyczajne nabożeństwa i ćwiczenia duchowne — mimo dotkliwej słabości, odprawiała w zaciszu domowem.

W ostatniej chorobie miała bł. Ludwika objawienie, że się już znajduje u kresu ziemskiej pielgrzymki. Z najwyższą radością przygotowała się do śmierci i opatrzona śś. Sakramentami oddała Bogu ducha 31 stycznia 1533 r. Po śmierci otaczał jej głowę złoty krąg świetlany, wielu chorych za zbliżeniem się do jej trumny odzyskiwało zdrowie i lud pobożny zaczął ją czcić jako „świętą". Pochowano ją w kościele Braci Mniejszych w kaplicy Ukrzyżowanego Chrystusa Pana.

U grobu świątobliwej Ludwiki tyle się działo wielkich cudów, że nazwano ją „Cudotwórczynią" — a papież Klemens X policzył ją w poczet „Błogosławionych" i pozwolił zakonowi Braci Mniejszych odprawiać o niej obrządek Boski 31 stycznia. *Esha.*

Tercjarz św. Franciszka

Rozdział X.

Miłość bliźniego sprawdzianem miłości Boga.

„Potem poznają. żeście uczniami moimi, jeżeli miłość mieć będziecie jedni ku drugim“.

Z charakteru dzieci Bożych, odkupionych i uświęconych męką Chrystusa, wypływa obowiązek braterskiej miłości wśród ludzi.

O sile natężenia tej ciepłej atmosfery miłości bliźniego mówią nam słowa Zbawicielowe: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego“.

Zatem w stosunki moje z bliźnimi muszę bezwarunkowo wcielać motywy Boże: miłość, życzliwość, wyrozumiałość, ofiarność, usłużność, cierpliwość, posłuszeństwo, wdzięczność i pokorę, zależnie od okoliczności i wymogów życia. Tego żąda ode mnie Chrystus Pan swym nakazem i tego uczy mnie Sam, własnem postępowaniem.

Ten nakaz Chrystusowy miłości bliźniego stwarza dla mnie Boże więzy, które z natury rzeczy muszą ująć cały świat ducha więc: moje myśli, uczucia, porywy serca i całą skalę działania i postępowania w odniesieniu do otoczenia. Pan i Bóg mój żąda ode mnie stanowczo tej pracy na niwie własnej duszy, gdyż czyni me wysiłki w zdobyciu tej cnoty sprawdzianem mojej ku Niemu miłości.

„Potem poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim“. On żąda tej karności, gdyż z niej wykwita zdrowie moralne, o które Bóg, mój Stwórca, Ojciec i Pan troska się bezwzględnie.

„Będziesz miłował bliźniego twego, jak siebie samego“. Miłość bliźniego ufundował Stwórca na miłości własnej każdego z nas, stwarzając tem samem dla każdej

duszy wskaźnik i kryterjum postępowania. Tym nakazem daje miarę natężenia tej cnoty w odniesieniu do bliźniego.

Tej cnoty uczy mnie własnem życiem Ten, Który je przeszedł dobrze czyniąc wszystkim.

Wpatruję się w Chrystusa w Jego ziemskiem bycie i analizuję postępowanie względem drugich. Ciepłe tętno usposobienia życzliwego dla wszystkich bije z każdego Jego słowa, każdego wejrzenia, ruchu, aktu woli i drgnienia serca.

Panie! jaki bezmiar nędzy odkrywam w sobie zaraz przy pierwszem na Ciebie spojrzeniu! Miłosierdzie, współczucie i sprawiedliwość są u Ciebie motorem postępowania; a u mnie? Miłość egoistyczna i pycha jakże często burzą świat mych z ludźmi stosunków; a przecież Ty Boże widzisz jak szczerze pragnie ma dusza, mimo tych załamań, wszczepić się najsilniej w Ciebie, wchłaniać w siebie tajemniczy prąd Twego świętego życia, potęgować w sobie czułość na wpływy Boże, poddawać się im najpokorniej, najuleglej, więc być jak najwierniejszym Twemu nakazowi miłości bliźniego, i stwarzać przez okres całego życia, wśród tej szarzyzny codzienności hymn serdecznej dziecięcej ku Tobie miłości, z aktów miłości bliźniego.

Wierzę wedle Twej nauki Chryste, że wszyscy ludzie są wspólnie ze mną dziećmi Twemi, dlatego celem wszelkich onych wysiłków będzie zdobycie spokoju z Tobą o Boże i ludźmi. Celem moich zabiegów będzie nie wielka ilość dokonanych prac, lecz przestawanie z Tobą w prostocie i weselu, wierne spełnianie Twych nakazów miłości bliźniego w każdem położeniu, w każdem zetknięciu się z ludźmi, czy w rodzinie, czy wśród obcych, na każdem posterunku, w każdym momencie życia, choćby drogą usilnych prac i walk ze samym sobą.

Dom rodzinny to komórka szczęścia ludzkości, o ile

atmosfera miłości, życzliwości opromienia powszednie, codzienne troski, czyniąc je przez to lżejszemi do zniesienia. Tylko w takim domu rodzinnym znajdziemy szczęście, swobodę, spokój, do niego tęsknimy wśród zawieruchy życiowej, do niego zwracamy się z uczuciem serdecznej miłości i najdroższych wspomnień z lat dziecinnych, gdyż w zaciszu domowego życia kształtowały się najgłębsze przeżycia naszego ducha.

Stawmy sobie przed oczyma duszy domek Nazareński z tą bożą atmosferą wyrozumiałości i miłości wzajemnej. U wszystkich członków tej Rodziny panuje życie Boże, pełne ciszy, oddania obowiązkom stanu, zawodu i wieku. Harmonja i ciepło Bożych łask opromieniają te kwiaty ludzkiego istnienia i wznoszą nad brud ziemski i deprawację grzechu. Każda z tych postaci kroczy drogą przez Boga nakazaną, uległa, wierna natchnieniom, pełna karności i tężyzny moralnej, wpatrzona w odwieczny cel — zbawienie. W słonecznym blasku miłości Bożej najdrobniejsze Ich czyny nabierają wartości zaziemskich, wszystkie poczynania podnoszą się na poziom Boży. Rzetelna, zdrowa miłość wzajemna, oparta na woli, oświeconej łaską z nieba, czyni ten zakątek Nazareński świątynią Ducha św. tchnącą pogodą i radością. Serca Świętej Rodziny na ścieżaj otwarte Bogu, skierowane ku cnocie, pełne panowania nad sobą, są wzajemnie dla siebie uzupełnieniem, podporą, ochroną wśród twardej ziemskiej pielgrzymki.

Takie usposobienie ewangeliczne zapewnia odporność wśród niepowodzeń, doświadczeń losu, wśród braków, nawet wśród nędzy i strasznych krzyżów życia.

A jakże kształtował się nasz stosunek do życia rodzinnego od najwcześniejszego dzieciństwa? Czy istotnie nic nie mąciło gorącej miłości rodzinnej, czy w atmosferę domową nie wnosiliśmy zgrzytów samolubstwa, hardości,

buty, nieposłuszeństwa, uporu, niezgody, braku czci, szacunku, wdzięczności względem członków rodziny?

„Czcij ojca i matkę twoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi!"

Czy w świetle tego nakazu Bożego spokój zalega serce? Czy na łonie rodziny, w kółku najdroższych, najbliższych sercu, już w okresie dzieciństwa nie szukałem siebie, nie akcentowałem swej woli, grzesząc przeciw przykazaniu miłości? Jakże gwałtownie karci mię sumienie za różne sprzeniewierzenia się przykazaniu Bożemu wobec najdroższej mej Matki i czcigodnej postaci Ojca.

Za trudy matki i ofiary około utrzymania mnie przy życiu, za te łzy wylane podczas bezsennych nocy czuwania w okresie mych chorób, za praktyczne, Boże przygotowanie mnie do życia, za ten kapłański posiew matczynych słów w mej duszy, za anielską słodycz postępowania, za cierpliwość i nieziemską dobroć i wyrozumiałość dla mych wad i postępowania, czem nieraz się odpłacałem? Jakże winnym czuję się Boże, a winnym tem więcej, im więcej dobra od Niej z Twojej łaski doznałem.

W odniesieniu do władzy ojcowskiej ileż chęci wyłamania się z pod nakazów, ileż pychy i zarozumiałości? A przecież to istoty otaczające mię najczulszą miłością, pragnące najgoręcej mego szczęścia, pracujące z największem poświęceniem dla mej przyszłości.

Jakże wielka nędza duchowa w tym względzie jest moją własnością. Nawet względem tych, z którymi złączyłeś mnie Boże węzłami krwi, więc spójnią najsilniejszą na ziemi, względem mego rodzeństwa, bliższych i dalszych krewnych, jakże dalekiem jest me postępowanie od Twego nakazu miłości.

Dla rodziny chrześcijańskiej Bóg jest osią życia. Nakazy Boże stawia ona na pierwszem miejscu, i wszystko podporządkowuje Woli Najwyższego. W realnem, pozytywnem rozwiązaniu wszystkich wymogów życia w du-

chu wiary, tkwi duchowa wielkość chrześcijańskiej rodziny. Ona oddaje Bogu należny hołd całokształtem życia.

W świetle miłości Bożej rozwiązuje chrześcijańska rodzina zagadnienie wzajemnej miłości małżeńskiej i wzajemnej wierności. Miłość małżeńska, zaprzysiężona świadomie i dobrowolnie w sakramencie małżeństwa wobec Boga, wymaga bezwzględnej wierności. Wierności silniejszej nad próby nieszczęść i niedostatków, nad doświadczenia krzyżów i niepowodzeń, wierności choć minie uczucie gwałtownej miłości, choć pryśnie czar młodości i piękna, wierności mimo chorób i kalectw fizycznych i moralnych, wierności mimo rozbieżności charakterów, wierności do grobowej deski.

Taka jest wola Boga!

Taką przysięgą związują się na wspólną dolę i niedolę w dniu zaślubin.

Dlatego ten najściślejszy, jaki może być między ludźmi, związek musi przepoić głęboka miłość oparta na miłości Boga, więc gotowa do ofiar, pełna moralności chrześcijańskiej i ducha Bożego, wznosząca ten związek prawny na wysoki poziom etyczny.

„Mężowie, miłujcie swe żony, jak Chrystus miłuje Kościół“, poucza św. Paweł. W tym sakramencie treścią jego musi być miłość, głęboka ofiarna jedność, wzajemne oddanie się i przywiązanie. Dla tej sakramentalnej miłości zsyła Bóg pełnię łask, obdarza dusze nieugiętą mocą do walki życiowej, o ile te jednostki rozumnie, z zastanowieniem i przygotowaniem zabierają się do związków małżeńskich i znają swe obowiązki. W tym wzajemnem oddaniu się dwojga dusz leży spowita potęga miłości, która jest niezbędną dla dobra dziecka, jako początku ludzkiego życia, które rodzice mają wychować.

Jeżeli miłość małżonków będzie uduchowioną, zgodną z wolą Bożą, to wypali ona wszelki brud zmysłowy, niedopuści choćby do cienia poniewierania wierności

małżeńskiej, gdyż stanie na straży świętości ogniska domowego i szczęścia dziatwy.

Miłość rodzicielska, troska o pokolenie nakazuje obowiązek wychowania dziecka dla Boga i ludzi. W cieple rodzinnego domu rozwija się dziecięce serduszko, jak kwiat w promieniach słońca. Rosa miłości rodziców zasila ten pączek ludzkiego życia zdolnością poznania dobra, ukochaniem ideału, przyuczeniem do karności i posłuszeństwa. Obowiązkiem rodziców jest wychować dziecko w bojaźni Boga, serdecznej ku Niemu miłości, w radości i weselu ducha. W domu rodzicielskim musi dziecię dojrzeć do powagi życia i być przygotowane do walki o najświętsze dobra duchowe, wśród najcięższych walk istnienia. Bóg zlecił naszej opiece dziecię; nie lalkę, nie pieszczotkę, nie zabawkę, gdyż w tej małej istocie ludzkiej są ukryte ziarna najrozmaitszych zdolności, cnót, popędów, które my przez wychowanie musimy rozwinąć, podnieść na odpowiedni poziom, nadać kierunek, lub zniszczyć i wypalić. Jakież odpowiedzialne zadanie wychowawców, jaki ogrom pracy.

„Cóż na świecie wznioślejszego, jak kształcić umysł i serce w młodzieży? Zaprawdę ponad malarza i rzeźbiarza wyżej stawiam człowieka zdatnego do dzieła ukształcania dusz młodych“ (Św. Jan Chryz. Hom. 60).

Obowiązek wychowania dzieci, kształtowania dusz młodzieży wynika z nakazu miłości bliźniego. Wychowanie, to czyn przepotężny! Ono winno nauczyć człowieka odróżniać dobro od zła, ukochać ideały dobra i piękna, uczynić religję świętością, potęgą w życiu. Wychowanie stwarza fundament całej egzystencji życia.

„Wychowanie powinno się udzielać i odbierać w duchu wiary, aby wrażenia i obyczaje religijne przenikały wszystko. Religja bowiem nie jest nauką ani ćwiczeniem, któreby można ograniczyć, naznaczając im miejsce i godziny osobne; religja jest wiarą, jest prawem, które bez-

ustannie i wszędzie stosować się winno i tylko pod tym warunkiem wywiera na duszę i na życie całe wpływ swój zbawienny". Guizot: „Memoires pour servir a l'Histoire mon temps" t. III.

C. d. n.

Frater.

Goście z nieba

W bielonej izbie u ciepłego pieca
Siedział pan Marcin i fajeczkę kurzył.
Na stole, kędy migotała świeca
Leżał chleb, przy nim żuru garnek duży.
Posiłek prosty, a smaczny i zdrowy,
Dzieło rąk własnych pani Marcinowej,
Lecz jakoś im się obojgu nie chciało
W tej pustej izbie zasiadać do jadła.
Hej, jak tu gwarnie, wesoło bywało,
Gdy stół gromada dzieciaków obsiadła;
Teraz wyrosły i poszły na swoje,
A w chacie starzy zostali we dwoje.
Markotno było. Ot i teraz — święta
Przechodzą cicho bez piosnek i śmiechów.
Strucelka z makiem ledwie napoczęta,
Nikt we drzwiach izby nie gniecie orzechów
I nikt przymilnie nie szepce do uszka:
Mamo! daj jeszcze nam po dwa jabłuszka
Jedna pociecha — to ten kościół Boży,
Gdzie człek ukoi stęsknionego ducha,
W ojcowskie ręce swoje troski złoży,
Z ambony słowa Bożego posłucha.
Gdy myśl ku rzeczom niebieskim obróci,
I ból mniej boli i smutek mniej smuci.
Więc też i teraz pani Marcinowa
Skończywszy swoją pracę u komina,
Jakby niechcący od słowa do słowa
Słyszane rano kazanie wspomina,

Nabożnie wzdycha i ręce rozkłada,
Pan Marcin słucha, ale nic nie gada.
...„Bo, moiściewy, czy to rzecz widziana,
Żeby zaś takie Dzieciąteczko Boże
Miało spać w żłobie na wiązeczce siana,
Nie w chacie, jeno w szopie czy w oborze,
Pośród bydlątek w pustkowiu i chłodzie,
Bo miejsca dla nich nie było w gospodzie.
Tutaj pan Marcin chrząknął oburzony
I rzekł: Nie było, nie było... niby to...
Można to wierzyć tym żydom niechrzczonym?
Żeby tak sakwą pieniądzmi nabitą
Żydziskom w oczy mignął Józef święty,
Ho! ho! to zarazby został przyjęty.
Mój Boże! Gdyby tak do naszej wioski
Przyszedł Pan Jezus i szukał gościny
Pewnie nie w szopieby spoczął Syn Boski,
Ale w najlepszym domu z całej gminy;
A choćby tylko i u nas w alkierzu,
Toć nie na słomie, lecz na miękkiem pierzu.
— Pewnie, że u nas inaczejby było!
Podjęła z żarem pani Marcinowa,
Jałowcemby się stancję wykadziło...
Ciepluśkie mleczko, bułeczka pytlowa,
Nic Jezuskowi by nie brakowało...
— Wtem ktoś w drzwi chaty zapukał nieśmiało.
Wejdźcie! Prosimy! Kogo Bóg prowadzi?
Serdecznie ozwą się na to oboje
I ku drzwiom chaty spoglądają radzi,
Myśląc, że ujrzą małe dziatki swoje,
Lecz nie — to obcy ktoś stoi u progu.
Z małem dzieciątkiem kobieta uboga.
Taka zziebnięta i blada i drżąca
O litość prosi smutnemi oczyma.
Pan Marcin swoją Katarzynkę trąca:

Patrz: ona ledwie się na nogach trzyma.
Ruszże się Kasiu! Prowadź ją do stołu,
Niech ciepłej strawy zje z nami pospołu.
Skoczyła żwawo pani Marcinowa
Do nieznajomej zagadała mile:
Prosim do stołu, wieczerza gotowa!
Niechaj paniusia u nas spocznie chwilę.
Widać zdaleka — w taką zimę srogą,
A jeszcze z oną dzieciną niebogą.
— Dzięki! o dzięki! Niech Pan Bóg zapłaci!
Zmęczonam bardzo, bo idę zdaleka.
Znienawidzony od swoich złych braci
Mój biedny synek przed śmiercią ucieka.
I nie wie kędy jasną główkę skłoni,
By być bezpiecznym od strasznej pogoni".
— O Matko Boska! To taka kruszyna
Musi uciekać już od ludzkiej złości!
Lecz się, paniusiu, nic nie bój o syna
My dzisiaj będziem strzegli naszych gości.
Dziś pani u nas na nocleg zostanie.
Kasiu! Przygotuj w alkierzu posłanie.
Pachnie w alkierzu jałowiec, trociczka
Bieleje w świeżej powłoczce pierzynka,
Tutaj odpocznie biedna podróżniczka,
Tutaj ułoży do snu swego synka,
Co taki cichy i śliczny i biały
Jak na obrazku Jezusek ten mały.
Siadają wszyscy społem do wieczerzy,
Gosposia, co ma, to na stół przynosi,
Strucelkę z maczkiem, masełko, ser świeży.
Jedzcie, paniusiu! grzecznie gościa prosi.
Potem prowadzi ją do alkierzyka
I drzwi cichutko za sobą zamyka.
Siadł znów pan Marcin z fajką przy kominie,
Małżonka jego szepce swe koronki...

Lecz co to? — Jakaś muzyczka skądś płynie
Jakby skrzypeczki i flety i dzwonki
Słuchają chwilę i uszom nie wierzą,
Toć ta muzyka, tak jakby w alkierzu
Skoczyła cicho pani Marcinowa
Uchyla drzwiczki — tam pełno światłości,
Anielskich pieśni słodkie płyną słowa,
Ale już niema nieznajomych gości —
Więc gospodarze klęknąwszy na progu
Za cud doznany dziękowali Bogu.

Ileż to razy w ubogiej postaci,
Pan Jezus staje u naszego progu!
Bo co czynimy najmniejszemu z braci
To tak jakbyśmy uczynili Bogu.
Niech miłosierdzie w sercach naszych gości
Bo wszakże Bóg nasz jest Bogiem miłości. *S. E. L.*

Król Ubogi

Narodził się Maleńki
Ubogi Niebios Król
Wśród nagich ścian stajenki
Wśród sennej ciszy pól.
Nie na królewskim dworze
Nie wśród gromady sług
W ubóstwie i pokorze
Rodzi się Wielki Bóg.
Chciał zaznać takiej doli
Jak jego biedny lud,
Wszystko, co smuci, boli
Sam chciał wycierpieć wprzód.
Od żłóbka aż do krzyża
Z ubóstwem zawarł ślub.
Niech nas ubóstwo zbliża
Do Jego Boskich stóp.

List Misjonarzy z Japonji

Ojcowie Misjonarze, którzy wyjechali z Niepokalanowa na początku września br. po czterotygodniowej podróży stanęli wreszcie w Mugenzai no Sono w samą uroczystość św. Franciszka. W dniu tym odprawili Msze św. już w japońskim Niepokalanowie w otoczeniu tamtejszych braci. W nadesłanem ostatnio liście, opisują swą podróż i pierwsze chwile na ziemi japońskiej.

List ten brzmi:

...Już jesteśmy w naszym klasztorku w Mugenzai no Sono. Na okręt wsiedliśmy 8. IX., t. j. w dzień Narodzenia Najśw. Marji Panny, a 4. X., t. j. w dniu narodzenia dla nieba św. O. Franciszka byliśmy u celu naszej podróży.

Podróż mieliśmy szczęśliwą. Bogu za wszystko niech będzie chwała, a Niepokalanej naszej Matuchnie, pod Której opieką i sztandarem puściliśmy się w tę daleką drogę, niewymowne dzięki. Jechaliśmy okrętem włoskim „Conte Rosso". W kajucie początkowo mieszkaliśmy we dwójkę, ale w Brindisi dodano nam dwóch towarzyszy kapłanów, z których jeden wysiadł w Bombaju. Mszy św. nie opuściliśmy na okręcie ani razu, odprawialiśmy przeważnie w kajucie, na ołtarzyku zabranym ze sobą. W kanale Sueskim i na morzu Czerwonem przeżywaliśmy tropikalne upały, na morzu zaś Arabskiem spotkaliśmy się z burzą, wskutek czego choroba morska dawała się nam we znaki. Okręt zawijał do portów podczas dnia i tylko na kilka godzin: w Brindisi, Port Said, Bombaju, Colombo, Singapore, Hong-Kong. Korzystaliśmy z okazji i zwiedzaliśmy wspomniane miasta.

W porcie nagasackim czekali na nas bracia i Japończycy, przyjaciele klasztoru. Powitania z braćmi nie będziemy opisywać, za silne było wrażenie, aby je wyrazić na piśmie. Witaliśmy się milcząco, bo ze wzruszenia ani my, ani bracia mówić nie mogli.

Żyjemy tu, Kochani Bracia, ubogo, nieraz nawet bardzo ubogo, ale nędzy nie cierpimy... Niepokalana czuwa nad nami, św. O. Franciszek duchem swoim jest wśród nas. A jeżeli nam czasem i czegoś zabraknie do życia, przypominamy sobie, żeśmy przecież synami św. O. Franciszka, który był jeszcze uboższy aniżeli my i wtedy, gdy nic nie miał, wołał: „Bóg mój i wszystko".

Czujemy się nader szczęśliwi i zadowoleni. Łączy nas miłość i zgoda braterska i ten wspólny cel: dużo, bardzo dużo

cierpieć dla Chrystusa i Jego świętej sprawy i jak najwięcej zyskać Jezusowi przez Niepokalaną. Módlcie się, byśmy temu celowi nigdy się nie sprzeniewierzyli. Pragniemy szczęścia dla szlachetnego narodu japońskiego! Gdy się rzuci okiem na miljonowe rzesze ludu, tak szlachetnego, jego pogańskie świątynie, mimowoli wyrywa się westchnienie błagalne: Jezu, kiedyż i oni będą Twoimi? Niepokalana, otocz ich płaszczem Swojej matczynej opieki!

Ale nietylko w Japonji mamy pracować. Co powiedzieć o Indjach, Chinach, Turcji, Arabji... Afryce całej? Toż to są ugory, które trzeba pracą misjonarską przeorać, zasiać pszenicę wiary prawdziwej, trzeba te narody przyprowadzić do Chrystusa. Prawda, jakie wielkie pole działania? Prawdziwie „żniwo wielkie". Czy potrafimy tego dzieła dokonać? My nie! Ale Marja Niepokalana może, może przez nas. Więc oddajmy się w Jej niepokalane ręce, niech przez nas działa tak i tam, jak i gdzie zechce. W tych sprawach mamy być bez kompromisu, mamy mieć jedną myśl i jedno serce.

Tyle z listu Ojców, a w innym piszą bracia:

...Z wysyłką październikową numeru gnaliśmy co sił starczyło; po wysyłce robiliśmy wszędzie generalne porządki, spodziewając się przyjazdu Ojców, Refektarz ustroiliśmy w chorągiewki polskie i japońskie, oprawiliśmy duży śliczny obraz św. Tereni, który przysłały nam swego czasu SS. Karmelitanki z Lisieux. Ustroiliśmy też figurkę Niepokalanej na małym ołtarzyku, wśród ładnych bukietów japońskich kwiatów.

W święto św. Tereni pracowaliśmy, ale już Niepokalanów trochę odświętnie wyglądał. Serca z wielkiem utęsknieniem oczekiwały — toć tyle czasu bez Ojców... Po południu otrzymaliśmy depeszę wysłaną z okrętu, tej treści: „aschata kum Korube" co znaczy: jutro przyjeżdżamy Kolbe.

W dzień św. O. Franciszka przed południem wyszło kilku braci do portu — reszta została w klasztorze, a z tych niektórzy wyszli na dach, inni w reflektarzu, a jeszcze inni oczekiwali tuż przy furcie. Około godziny pierwszej zajeżdża oczekiwana taksówka. Wysiadają znużeni Ojcowie, bo nie dość, że są jeszcze na czczo, ale i słońce przypieka nieźle. Powitanie bardzo serdeczne choć z pośpiechem, bo przed pierwszą godziną mają jeszcze Msze św. zacząć. W kaplicy ruch, jakiego jeszcze nigdy nie było. O. Gwardjan (O. Kornel) zaczyna pierwszy Mszę św. przy ołtarzu Niepokalanej, trochę później O. Dyrektor przy podróżnym ołtarzyku zabranym z Polski kapliczka

tak mała, że ledwie jeden ołtarzyk i kilka klęczników w niej stanąć może. Po Mszy św. O. Gwardjan odwraca się i od ołtarza ma przemówienie (pierwsze kazanie w Niepokalanowie tutejszym) o św. O. Franciszku. Pod wieczór tego dnia O. Dyrektor z jednym z braci poszli złożyć wizytę zacnym OO. Bernardynom. Tam też zastali J. E. Ks. Biskupa Hayasakę.

W tych dniach zachorował nam b. poważnie Ks. Biskup. Podobno pół ciała sparaliżowane. Gdy odwiedzili go nasi Ojcowie, wyraził swoją radość z tego, że my pierwsi przybyliśmy do jego diecezji, by szerzyć kult Niepokalanej.

Innym razem gdy O. Dyrektor w mieście był rowerem, wstąpił też do Jego Ekscelencji. Ks. Biskup leżał z głową obłożoną lodem i z oczyma przymkniętemi. O. Dyrektor mniemając, że Ks. Biskup śpi, a niechcąc go budzić, chciał się cofnąć, ale chory, poznawszy po głosie O. Dyrektora, zapytał, dlaczego wchodząc, nie mówi tym razem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“? (pozdrowienia tego Japończycy nie znają, ale my, chodząc do J. Ekscelencji, zawsze takeśmy go pozdrawiali i on to teraz praktykuje). Jeszcze więcej Biskup coś mówił, ale było widać, że bardzo cierpi, bo mówił cicho i niewyraźnie. Przy pożegnaniu Ks. Biskup udzielił O. Dyrektorowi i wszystkim mieszkańcom naszego klasztoru pasterskiego błogosławieństwa.

...Niedawno obchodzili tu poganie trzydniowe święto na pamiątkę odniesienia zwycięstwa tutejszej religji nad chrześcijańską. Biedni oni...

Z japońskiego poselstwa w Warszawie pisał list pan Kinoshita do O. Dyrektora, że wyjeżdża na kurację do Japonji i że wstąpi też do nas. Módlmy się, by i jego Niepokalana pociągnęła do prawdziwej wiary. Nawrócenia takich ludzi ogromny wpływ wywierają na innych.

Uczymy się wszyscy w dalszym ciągu języka japońskiego. Nasz nowy O. Gwardjan z zapałem kuje słówka i już próbuje rozmawiać po japońsku...

Serdecznie Was, Kochani Ojcowie i Bracia w Niepokalanej, pozdrawiamy i polecamy się Waszym modlom. I my za Was każdego dnia wspólnie się modlimy.

Bracia „Japończycy“.

Józefa Januszówna.

Doczekała się.

Opowiadanie na tle prawdziwego zdarzenia z czasów panowania króla Jana III. Sobieskiego.

Ciąg dalszy.

Ze łzami najżywszego współczucia słuchała Haneczka słów pani Zaleskiej, która z takim spokojem opowiadała smutne swe przeżycia (streszczone poniżej), jak gdyby one dotyczyły zupełnie innej osoby.

Przez jakiś czas po pogrzebie ojca Magdusi macocha zdawała się pozbywać swej nienawiści do dziewczęcia. Wprawdzie traktowała ją nadal jak służącą, ale przestała ją ciągle łajać i posturkiwać, oraz zabroniła służbie dokuczać jej na każdym kroku. Jednak trwało to niedługo; niebawem powrócił dawny stan rzeczy. Owszem prześladowanie biedactwa wzmogło się jeszcze, gdy macocha weszła w nowe związki małżeńskie. Nie dość było macochy, przybył jeszcze niby ojczym. Ten przewyższył jeszcze żonę w wyrafinowanem dręczeniu biednej Magdusi. Gdy Bóg zesłał macosze własne dzieci przybyło nieszczęsnej dzieweczce pracy i tak już obarczonej nadmiarem obowiązków. W takiem prawdziwem męczeństwie upływały biedaczce młodociane lata.

Gdy skończyła piętnaście lat, stary Walenty postarał się o dłuższą z nią rozmowę. Opowiedział, że ojciec Magdusi na kilka dni przed śmiercią polecił mu opiekę nad córeczką i rozkazał, aby w razie, gdy stosunki domowe staną się dla niej niemożliwe do zniesienia, opuścił z nią Janową Wolę pokryjomu i zawiósł ją do wuja Marcina w Nadole. Sposobność do ucieczki nadejdzie niebawem. Państwo wybierają się z dziećmi do ojca pańskiego, by mu pokazać wnuki. W ich nieobecności z łatwością będzie można opuścić Janową Wolę. Magdusia, szanując tę pośmiertną wolę ojca, zgodziła się na projekt wiernego

sługi. Walenty poczynił w największej tajemnicy odpowiednie przygotowania. Gdy macocha z mężem i dziećmi wyjechała, wyprowadził nocą konia ze stajni, zaprzągł go do małej bryczki, wsadził na bryczkę Magdusię, umieścił jej i swoje rzeczy poczem opuścili Janową Wolę. Nikt nie zauważył ich tajemnego odjazdu, gdyż służba, korzystając z nieobecności państwa, bawiła się szeroko i poza zabawą na nic nie zwracała uwagi.

Wieczorem przybyli do Nadołu. Krewni Magdusi przyjęli ją z całą serdecznością; zatrzymali również u siebie starego Walentego, który nie mógł już wracać do Janowej Woli. Zmizerowaną i smutną dzieweczkę otoczono najtroskliwszemi staraniami. Były one niezbędne, gdyż niebawem rozchorowała się ciężko. Choroba ta, wynik nadmiernej pracy, niedostatecznego odżywiania i braku wszelkich wygód, które były jej udziałem w czasie rozwoju organizmu, trwała parę miesięcy. Kilka razy zdawało się, że słabo tlejący płomyk życia zagaśnie ostatecznie. Wreszcie jednak młodość odniosła zwycięstwo i Magdusia powstała z łoża boleści jakby nowonarodzona: wyrosła, wypiękniała i niebawem mogła wziąć udział w nauce udzielanej dzieciom pp. Nadolskich przez sumienną nauczycielkę, oraz przez księdza proboszcza Nadołu. Tak przeszło Magdusi kilka lat w gronie życzliwych krewnych wśród pracy naukowej i gospodarczej.

Gdy doszła do wieku lat 19 nastąpiła zmiana w jej losie. Z okazji dorocznego parafjalnego święta poznał ją daleki sąsiad trzydziestoletni, dawny wojskowy, Jan Zaleski. Spodobała mu się urodziwa, poważna panienka, poprosił jej opiekuna o pozwolenie bywania w domu i po roku konkurów pojął ją za małżonkę.

Było to za panowania króla Jana Sobieskiego około roku 1680. Uboga sierota, która w dzieciństwie i wczesnej młodości doznała tyle poniewierki stała się panią i gospodynią w zamożnym, pięknym dworze. Kochana

i szanowana przez męża, czczona przez lud, którym się opiekowała jak matka, czuła się nad wyraz szczęśliwą. Szczęście to zwiększyło się niebawem, gdy Opatrzność zesłała jej miłe dziatki. Pod koniec czwartego roku małżeńskiego pożycia miała dwóch synków: trzechletniego Janka, podobnego jak dwie krople wody do ojca i rocznego Anteczka, wiodącego swój żywot głównie na rękach piastunki Jagusi. Czasami tylko, ale bardzo rzadko, zasępiało się oblicze młodej pani Zaleskiej, gdy wspominała przedśmiertne słowa ojca: „ciernistą ścieżką twego życia rozjaśni na lat kilka promień szczęścia". Słowa te przepowiadały krótkotrwałość jej obecnego szczęścia.

C. d. n.

„Natura i Łaska"

Obrazek sceniczny.

ODSŁONA I.

Osoby występujące w I. odsłonie:

1. Zosia. 2. Jula. 3. Łaska. 4. Natura. 5. Matka Zosi i Julji. 6. Służąca.

Scena przedstawia pokój pięknie umeblowany — główna rzecz lustro duże — w pokoju znajduje się Zosia — stroi się na bal.

Scena I.

Zosia (przeglądając się w lustrze na wszystkie strony):

Tym razem to napewno z koleżanek żadna,
Nie będzie tak ubrana, tak zgrabna i ładna
Jak ja! chyba Maryśka, ta wielka pieszczocha.
Zdaje się, że mamusia, zanadto ją kocha
I niczego nie broni, gdy na bal się stroi.

(Lekko bez szelestu wchodzi „Łaska" — cała w bieli, osłoniona tiulem — niby duch. Zosia odczuwa wyrzuty sumienia).

Scena II.

Zosia (oglądając się niespokojnie):

Może mi się zdawało, że przy mnie ktoś stoi
Jak to jednak zwodnicze są te bale, stroje,
Niby to się raduję, a czegoś się boję.
Nuż tam śmierć mnie zaskoczy?... bo wszystko możliwe
I z balu do wieczności... brr!... jakie to straszliwe!

Kiedyś podczas kazania mówił ksiądz Wikary,
Że za próżność są w czyścu przeokrutne kary.
A mogą być i w piekle...

(Z przeciwnej strony wchodzi „Natura“ — cała ubrana na czarno — również okryta tiulem — niby duch poddający złe myśli).

Scena III.

Zosia (ożywia się, poprawia fryzurę):
E! na co i poco,
Takiemi dziś sprawami myśli się kłopocą.
Wszak od czasu do czasu zabawić się można,
Będę przecież na balu skromna i ostrożna.
A czy tańczyć jest grzechem? i Święci tańczyli,
Aż na lekcje umyślnie w tym celu chodzili.

(„Łaska“ cofa się w kąt — „Natura“ do Zosi coraz więcej się zbliża).

Muszę sobie zatańczyć czy umiem mazurka.
Chcę być lekka i zwinna jak polna przepiórka.

(Zosia nuci dowolną melodję i tańczy — na to nadchodzi Julka).

Scena IV.

Julka (z przerażeniem):
Dla Boga! co ta Zośka dzisiaj nie wydziwia!
I skacze wciąż i skacze, nogami wykrzywia.
Zosia (oburzona): A cóż tobie do tego, ty pilnuj różańca.
Nie jestem ja tercjarką, mam prawo do tańca!
Julka: No! no! tylko tercjarstwa mi nie poniewieraj,
I buzi tak szeroko na mnie nie otwieraj.
Chcesz, to mamy zawołam, aby zobaczyła,
Jakżeś to na powszedni dzień się wystroiła.
Pewnie znów zabawa, albo bal gdzieś będzie,
A ty musisz być pierwsza na widoku wszędzie.
Zosia: Możesz mamy zawołać, nie boję się wcale
I mama kiedyś, kiedyś chodziła na bale.

(Julka odchodzi — „Łaska“ znów cofa się w kąt).

Scena V.

Zosia (nuci melodję — znowu tańczy — po chwili mówi):
Nieznośna jest ta Julka, o ja ją nauczę!
Jeszcze dziś świętoszce porządnie dokuczę.
Pozabieram jej wszystkie książki i różańce,
Niech mnie ciągle nie gani za stroje i tańce!
I co jej do tego? Co?

(Wchodzi matka — „Łaska“ znów się przybliża).

Scena VI.

Matka: Ach, Zosiu, dziecko moje,
I na cóż ci się zdadzą te bale i stroje?
Chyba na to, byś zeszła całkiem na złe drogi.
Czy źle siedzieć w domu? milsze obce progi?
Zosia (złości się): Już mamie bajek nagadała.
Och! ta Julka!
Matka: Ja ją, Zosiu, umyślnie do ciebie posłała,
Chciałam wiedzieć, co robisz i czy jesteś sama...
Zosia: A no tak, tak, przez Julcię szpieguje mnie mama.
Że ona do Zakonu wstąpiła Trzeciego,
Choć jest nauczycielką, to w tem niema złego?!
Matka (tonem błagalnym):
Dziecko drogie! posłuchaj, zrzuć z siebie te stroje.
Zosia: E! bo mama i Jula zawsze tylko swoje.
Zostań w domu — siedź w kącie — jak zaczarowana!
Żadna z mych koleżanek nie jest tak związana,
By i nosa nie mogła wystawić na pole.
Czy to ja jestem dzieckiem, uczennicą w szkole?
Jestem panną dorosłą, mam już swoje lata,
Wolno mi się zabawić, użyć trochę świata!
Matka: Ej Zosiu! masz ty buzię zanadto szeroką.
Ranę matce zadajesz — choć nie wiesz — głęboką.
Zosia: Tak, tak, mamo, lecz i mnie to przeokrutnie boli,
Że nic zrobić nie mogę podług swojej woli!
Matka (z bólem):
A więc czyń, co chcesz tylko, od dziś jesteś wolną,
Boś już panną dorosłą, nie dziewczynką szkolną.
Upominać cię więcej nie będę dziecino,
Niechże ci na wolności odtąd lata płyną!
(Matka odchodzi — „Łaska“ zostaje blisko Zosi).

Scena VII.

Zosia (siada i zamyśla się):
Jakże iść na zabawę w tej ducha rozterce,
Trzebaby mieć kamienne lub żelazne serce,
By nie czuć tych wyrzutów i upomnień matki.
E! poskładam ja lepiej te moje manatki,
Zjem kolację i spać się do łóżka położę.
Na bal dziś już nie pójdę... *(wstaje, by się rozebrać i wzdycha):* O Boże, mój, Boże!
(Wchodzi służąca).

Ciąg dalszy nastąpi.

ODPUST ZUPEŁNY.

który można zyskać biorąc udział w procesji z Najśw. Sakr.

Dnia 25 września 1933 r. ze Stolicy Apostolskiej wyszedł dekret, w którym Ojciec św. udziela odpustu zupełnego dla tych, którzy biorą udział w procesjach eucharystycznych.

Treść tego dekretu podajemy do wiadomości P. T. Czytelników.

Do świętych obrządków, które bardzo skutecznie przyczyniają się do większego wzmocnienia wiary katolickiej, zalicza się także uroczyste obchody, zwane przez ludzi powszechnie „procesjami", o ile te obchody są zgodne z przepisami liturgicznemi i są urządzone w duchu prawdziwej pobożności.

A znów między temi procesjami bezsprzecznie naczelne stanowisko zajmują nie te, w których czcimy rzeczy poświęcone, albo obrazy lub relikwje Świętych, Najśw. Marji Panny, czy Pana Jezusa, ale te, w których cześć oddajemy samemu Jezusowi, prawdziwie, istotnie i rzeczywiście obecnemu w Najświętszym Sakramencie.

I ten Jezus, Król Chwały, pod zasłoną Eucharystycznego Chleba ukryty, idzie w procesji po kościele, albo po drogach publicznych, aby wierni, w których sercu miłość ku Niemu płonie, mogli Mu cześć oddać i modły swoje ofiarować.

Nakoniec w uroczystej procesji udaje się On jeszcze do domów chorych, aby tam być Pokarmem dla nich, ulgą w chorobie, która ich dręczy i Wspomożeniem w ostatniej walce życiowej.

I dlatego Ojciec św. pragnąc, aby przez te procesje jeszcze bardziej wzmogły się uczucia wiary i miłości, tak bardzo miłe Najświętszemu Sercu Jezusa, szczególną uwagę zwrócił na procesje eucharystyczne, zwłaszcza uroczyste. I w tej sprawie udzielił 8 lipca 1933 roku audjencji Kardynałowi Penitencjarjuszowi Większemu.

A jak niedawno udzielił nowych odpustów dla tych, którzy wypełniwszy przepisane warunki, wezmą udział w 40 godzinnem nabożeństwie, tak i teraz udzielił odpustu, pragnąc, aby miłość wiernych względem Najśw. Sakramentu, niesionego w uroczystej i zgodnej z przepisami procesji, coraz bardziej rosła, wzmacniała się i cześć Boga Człowieka powiększała.

Odpust zupełny zyskać może ten, kto wyspowiada się, przyjmie Komunję św. i weźmie udział w procesji, odbywającej się albo wewnątrz kościoła, albo po ulicach i pomodli się w intencji Ojca św.

OPŁACONO RYCZAŁTEM

ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ“
O. O. Franciszkanie — Kraków, pl. W. W. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

KALENDARZYK NA STYCZEŃ

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkanskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III. Zak. A. G.

1. P. **Nowy Rok Obrzezanie P.J.** (A. G. Z.)
2. W. Oktawa św. Szczepana męcz *Najśw. Imienia Jezus*
3. S. Oktawa św. Jana Ap. Św. Genowefy.
4. C. Oktawa Niewiniątek, Bł. Anieli z Folinjo wd. III. Zak. (Z. F.)
5. P. Wigilja Trzech Króli, Św. Telesfora, Bł. Rogera w I. Z. (Z. F.)
6. S. **Uroczystość Trzech Króli** A. G.
7. N. **1 po Trzech Królach** *Najśw. Rodziny* Bł. Mateusza w I. Z. (Z. F.)
8. P. Św. Seweryna Op.
9. W. SS. Juljana i Bazylissy mm.
10. Ś. Św. Pawła pust.
11. C. S. Hyginjusza p. m.
12. P. S. Arkadjusza m.
13. S. S. Leoncjusza b.
14. N. **2 po Trzech Królach.** S. Hilarego b. D. K. S. Feliksa m.
15. P. S. Maura op.
16. W. SS. Berarda i Tow. Pierwszych męcz. Zak. św. Franc (Z. F.)
17. Ś. S. Antoniego pust.
18. C. S. Pryski p. m. Katedry św. Piotra.
19. P. SS. Marjusza i Tow. m. S. Kanuta m.
20 S. SS. Fabjana i Sebastjana mm.
21 N. **3 po Trzech Królach** S Agnieszki p. m.
22 P. SS. Wincentego i Anastazego mm.
23. W. *Zaślubiny N. M P.* S. Rajmunda z Penafort w.
24. Ś. S. Tymoteusza b m.
25. C. Nawrócenie św. Pawła Ap.
26. P. S. Polikarpa b m S. Pauliny p.
27. S. S. Jana Chryzostoma b. d. K.
28. N. **4 po Trzech Królach** S. Flawiana m.
29. P. S. Franciszka Salezego b. d. K.
30. W. S. Hyacynty p. III. Zak. S. Martyny p. m. (Z. F.)
31. Ś. S. Piotra z Noli w.

Za pozwoleniem Władzy Zakonnej i Diecezjalnej.

Redaktor O. Czesław Kellar franciszkanin.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie.